

ŚMIESZEK

DODATEK HUMORYSTYCZNY

Wychodzi kiedy chce i kiedy mu się podoba. Dla czytelników nasz. darmo a dla innych podwójna cena

Nr. 3

19 kwietnia

1932

Malarz i doróżkarz

Pisarz sądu okręgowego otworzył drzwi sali sądowej, wykrzyknął dwa nazwiska do długiego korytarza, a niebawem weszły do pokoju dwie postacie: jedna krępa ze słusznym brzuchem, z szerokimi policzkami, okrągłemi a czerwonymi jak rumienno kołacz wielkanocny, a czerwonymi, w górę sterczącymi szczecinkami pod nosem, a oczami mrugającymi, wesoło do światła uśmiechniętymi. Druga postać jest wprawdzie koścista, ale wybuła jak tyka chmielowa, w krótkowanych pantalonach, w aksamitnym tuziurku, w kapeluszu artystycznym na głowie, o długich siwych włosach pod nim. Wysokie czoło, siwe kruczkwate brwi nad oczyma, siwy wąs pod nosem, siwa kozia bródka. Policzki wychudłe, wpadłe, spojrzenie, które chce być poważnem, ale jest brzydkim, szeroki kołnierz na koszuli, pod kołnierzem szeroki krawat z długimi kołyszającymi się końcami. Za ową krępą postacią wchodzi do sali jeszcze jedna mała, mniej krępa postać z ryżym włosiem a wąsem, czerwonymi policzkami, żywymi oczami o dobrodusznym wyrazie.

Sędzia: Pan Słaboskrzypcowicz?

— Ano — mówi ochrypłym głosem postać z obliczem kołczowatym.

Sędzia: Pan Maciwoda?

— Tu — odpowie głębokim głosem wysoki, kościsty mąż w aksamitnym tuziurku.

Sędzia: Ponieważ tu jesteście, zatem zdejmujcie kapelusze. W sali urzędowej zdejmuje się kapelusze!

Maciwoda zawstydzony zdejmuje szeroki kapelusze artystyczny, Słaboskrzypcowicz śmieje się potajemnie, ponieważ sam odkrył już głowę na korytarzu.

Sędzia: Czyli ma który z was zastępcę, lub czy sami jesteście?

Słaboskrzypcowicz: Proszę, uważać, ja sobie wiodę doktora.

Mniej krępa postać za Słaboskrzypcowiczem oddaje sędziemu głęboki pokłon, a potem siada przy stole po jego prawym boku. Pisarz, siedzący po lewej stronie sędziego, rzuca oczyma po stronach i uśmiecha się. Tuszy, że to będzie proces wesoły.

Sędzia: Panie Maciwodo, jesteś pan oskarżony przez tego tu pana Słaboskrzypcowicza, żeś go brzydko wyzwał. Powiedz pan, nie chciałbyś go przeprosić, abyśmy to załagodzili na dobrej drodze! Mieszkacie w jednym domu, jesteście sobie ustawicznie na oczach, nie pozwólcie, aby przyszło do osądzenia sprawy.

Maciwoda (wzdychając w głębi: Prześwietny sędzie! Ja nie mogę być zasądzony, ponieważ je-

stem niewinny jak baranek. On mi ubliża, jakże zaś mógłbym! przeproszać!

Sędzia: Panie Słaboskrzypcowicz, pan mu nie chcesz odpuścić?

Słaboskrzypcowicz (szybko a chrapliwie z ciągłym uśmiechem): Uważać, prześwietny sędzie! Niech sąd rozstrzyga, kiedy w nim taka pycha i nie chce przeprosić. Albowiem ja to hetka pętelka, albo nie wiem tam co, abym się tak dał wyzywać? Prawo niech ma znaczenie. Ja przyprowadziłem sobie doktora, ktoby mi go zapłacił?

Sędzia: Dobrze; jest to niepięknie, że się nie chce pogodzić, chociaż sąsiedzi z jednego domu.

Słaboskrzypcowicz (żywo): Proszę, uważać, ja jestem lokatorem, on jest stróżem domu.

Maciwoda rzuca wściekłym wzrokiem na Słaboskrzypcowicza.

Sędzia przystępuje do spisania protokołu (do Maciwody: Nazwisko pańskie?

Maciwoda: Zbigniew Maciwoda.

Słaboskrzypcowicz (przedrwinając): Zbiegniew! Ale ochrzczony na Macka!

Sędzia: Nie przerywaj pan! Przyjdzie i na pana kolej. (Do Maciwody): Jakże to z tym Maciejem?

Maciwoda (z powagą): Proszę, to była pomyłka. Moja matka życzyła sobie, aby mnie ochrzczono Zbigniewem, ale śp. mój ojciec zmylił się właśnie w chwili, gdy ksiądz proboszcz pytał o imię, i rzekł swoje — takim ochrzczony Maciejem, ale mianuję się Zbigniewem.

Sędzia (do pisarza): Pisz pan: Maciej Zbigniew Maciwoda. Ile pan masz lat?

Maciwoda: Pięćdziesiąt dwa lata.

Sędzia: Żonaty? Masz pan dzieci?

Maciwoda (z westchnieniem): Żonaty, proszę, a do tego sześcioro dzieci.

Sędzia: Zawód pański?

Maciwoda: Zawód? a tak, zawiodłem się na panu Słaboskrzypcowiczu...

Sędzia (przerywając): Zajęcie pańskie?

Maciwoda: Pożal się Boże, od rana do nocy zajęty ciągle, prześwietny sędzie.

Sędzia: Czem się pan trudnisz?

Maciwoda (postępując naprzód): Malarz, prześwietny sędzie, malarz.

Słaboskrzypcowicz (czekał już na tę odpowiedź i staczał walkę z sobą. Twarz jego jeszcze bardziej się zaczerwieniła, szczecinki pod nosem mu się zjeżyły. Nakoniec wyrwie się zaledwie Maciwoda skończył): Malarz! Stróż domu jest, uważać prześwietny sędzie, stróż domu!

Sędzia: Nie przerywaj nam pan, w przeciwnym razie każę pana wyprowadzić! (Do Maciwody): Jakżeto, panie Maciwodo, jesteś pan akademickim malarzem, czyli malarzem porcelany, czyli pokojów?

Maćiwoda (którego wargi drżą z rozczulenia): Prześwietny sędzie, ja jestem pierwotnie właściwie akademickim malarzem, ale wskutek rozlicznego potyrania losów musiałem opuścić wysoką szkołę, a potem pozostałem tylko przy malarstwie ornamentalnem i wogóle ozdobnem. Ozdabiam przybytki.

Sędzia: Krótko mówiąc, pan jesteś malarzem pokojów?

Maćiwoda (przewlekłe): Gdy się to tak weźmie, ano, prześwietny sędzie, ale stylowym, czy sto stylowym, ja maluję tylko „styl”. (Oddycha głęboko).

Sędzia: Dobrze; słuchaj pan zażalenia. Pan Słaboskrzypcowicz wnosi na pana zażalenie, żeś mu pierwszego dnia września brzydko nawymyślał. Wybiegłeś pan podobno na dziedziniec i krzyczałeś, że Słaboskrzypcowicz jest dziki, koński fagsa, obmierzły zbijobruk, wędzony chłop, końskie ucho, flak, że należy do stajni do swych koni, a nie między ludzi. Cóż pan powiesz? Czy jest tak? Czyś pan powiedział to wszystko? Czemu pan używasz takich obelżywych wyrazów?

Maćiwoda: Prześwietny sędzie, gdzieżby zaś obelżywe wyrazy? to było rozczulenie. Ten mąż, który tu stoi, przywiedzie mnie do grobu i pozbawi ojca sześciu małych dzieci.

Sędzia: Powiedziałeś to pan, czyli nie? Odpowiadaj pan.

Maćiwoda (cienkim głosem): Wszystko było inaczej, prześwietny sędzie. To jest wymysł a obmowa, on mnie zdręczy.

Sędzia: Jakże zaś obmowa a wymysł? Powód ma na to sześciu świadków, samych lokatorów domu. A dla czego pan tak wymyślasz lokatorom będąc tam zawiadowcą domu?

Maćiwoda (szybko płacząc): Proszę, prześwietny sędzie, o słowo, wszystko to wyświecę.

Sędzia: Zaniechaj pan długiego wyświecania, a powiedz, czyli tak wymyślałeś, czyli zgola nic?

Maćiwoda (żałamując ręce w niezmiernem rozczuleniu, z poddaniem się): Kiedy ani mówić mi nie wolno, tedy koniec; on przyszedł ze skargą, przyprowadził sobie doktora, mówię, co mu się podoba, wszystko mu wolno, a mnie nic, i muszę milczeć — a zatem jestem zasądzony.

Sędzia (cierpliwie): No tak, co więc pan chcesz powiedzieć. Mów pan, wyświecaj pan.

Maćiwoda (oddychając głęboko): Prześwietny sędzie! Panie doktorze! Panie pisarzu! Pokój anielski byłby u nas w domu, gdyby w nim nie mieszkał Słaboskrzypcowicz. (Słaboskrzypcowicz uśmiecha się chytrze). Los mnie prześladowa od małości, ale teraz na stare lata to dopiero do niewytrzymania. Żylibyśmy w świętej zgodzie, gdyby on chciał uszanować moją wiedzę. Bo ja mam do zgody, jak ryba do wody; złego słowa wymówić nie mogę. Jego samego korci, gdy mu kto mówi dorózkarz, ponieważ jest fiakrzystą, ale mną pomiata ciągle, i bez wytchnienia. Cóż ja za to mogę, że jestem pomiekądnym zniewolonym zawiadowcą domu, ale przeto nie jestem żadnym prostym portjerem, aby mną wymywał gębę. Wybieram dzierżawę od lokatorów, to wszystko, inne zaś prace wykonuje moja małżonka. Zamiata dziedziniec i korytarze, myje schody, czyści chodniki przed domem, a w nocy otwiera drzwi lokatorom. Ja zaś jestem prawie zawsze poza domem i maluję, maluję u samych nobliwych i porządnym panów.

Sędzia: No dobrze, ale to wszystko nie należy do sprawy, trwa to tak długo...

Maćiwoda: Zaraz proszę, teraz to przyjdzie. Ja tedy nie wykonuję żadnej pracy portjerskiej, a

jednakowoż pan Słaboskrzypcowicz uwziął się na mnie i gdziekolwiek mnie spotka, zawsze na mnie woła: Śmierdzi portjerze, znowu tam na dworze paskudne świństwo — uczciwszy uszy prześwietnego sądu. Stróż domu! A uważajże przecież cokolwiek na coś, kanał zarzucony! Patrz, patrz, portjerze, tu ciecie ci okap... i tak to idzie bez ustanku, prześwietny sędzie! Zawsze mnie tłucze tym „stróżem domu” a „portjerem” przez nos a wie przecież dobrze, że jestem malarzem. Ja nie żadam, aby mi oddawał jakąś cześć szczególną, ale niech na mnie nie mówi tego, niech się ułoży z moją małżonką. Ona się umie z ludźmi rozmówić; ho, ho! nie upadła na gębę. Ale on na mnie, jak na ślepa kobyłę, a ja znoszę cierpliwie. Gdy chce ze mną mówić, niech mnie nazywa: Maćiwodo! (żywo błagalnie). Gdyby mu tak prześwietny sąd chciał nakazać, aby mnie nie nazywał „portjerem”, ja bym go dziś przeprosił i bylibyśmy w zgodzie, aż miło!

Sędzia: Sąd mu nie może przepisywać, jak ma pana tytułować, to zależy od jego dobrej woli.

Słaboskrzypcowicz wykrzywia twarz szyderczo i gładzi się po brzuchu.

Maćiwoda (z westchnieniem): Od jego dobrej woli! Tom zgubiony!

Sędzia: Ale zawsze jeszcze nam pan nie odpowiedział, czyli jest prawda, co powód twierdzi, albo nie.

Maćiwoda: Prześwietny sędzie, to jest z gruntu inaczej. Posłałem ucznia, Piotrusia, aby wylał trochę zielonej farby, która nie była już potrzebną. Piotruś idzie, wylewa ją do kanału, i cokolwiek bryznął tam na dorózkę pana Słaboskrzypcowicza. No to i cóż? Dorózka i bez tego potrzebuje pomalowania. To i lepiej dla niego. Słaboskrzypcowicz zaś wyleciał ze stajni, gdzie karmił konie z taką wielką gębą i zaczął mnie lżyć na funty! Trzaskał nie porównując jak młyńskie koło, że było straszno słuchać, co wszystko rzekł: bazgracze, paskudziarze, smrodliwi rzemieślnicy, mór na pomieszkani. To wszystko pił do nas wszystkich i mych robotników, ale mnie ekstra nazwał jeszcze świńtuchem, bez obrazy uszu prześwietnego sądu, i że jako dozorca domu mam dbać o czystość w domu. Na to ja jemu łagodnie, ale to zupełnie łagodnie, prześwietny sędzie, i bez złości, bom jak gołąb bez żółci: Panie Słaboskrzypcowicz, wstydź się pan, wszakże on wykształceniem stoi niżej od tych koni swoich; te przynajmniej żrą i nic nie mówią, a on rozwiera gębę, jako, no, nieprzymierzając jako dorózkarz! I to rzekłem, a nic więcej, on zaś mnie zaskarżył. Ja — Pan Bóg widzi — nie wiem, jak do tego przychodzi. Serce we mnie płacze.

Słaboskrzypcowicz (który się już z wściekłości trzęsie i gra wszystkimi dziesięciu palcami): E, no, do milion kroćset tysięcy...

Sędzia: Ciszej, co by to zaś było tu złorzeczyć!

Słaboskrzypcowicz: Ej, no, do milion... uważać prześwietny sędzie, mógłbym pęknąć, mógłbym pęknąć! To jest gęba! Tutaj się stawia jako niewiniątko, a wówczas mnie z błotem zmiesza, że na mnie psi po mieście szczekali! On powie: trochę opryskał! Toż mi oblał ten huncwot niecnota cały tył powozu — ale to był podmówiony przez tego tu dozorcę domu! (Maćiwoda targnie sobą). Czyli mi wymyślał? I jak wymyślał? Jeszcze mi powiedział, że odemnie bucha na wsie strony konina — ale mi tego nie dał ten tam pan dotkora nawet podać w skardze, że, mówił, jest dosyć już wyzwick. Panie doktor, powiedz pan także co!

Daremnie kusi się sędzia o to, aby się pogodził przeciwnicy, Słaboskrzypcowicz ani chce słu-

chać; ma — mówi — na to pełen dom świadków, i gdyby miał żreć z końmi samą sieczkę, nie po- puści.

Ale w dalszym toku sprawy wychodzi na jaw, że brak głównego świadka, woźnicy Słaboskrzyp- cowicza Waniury.

Maciwoda nie zgadza się na to, aby odczytano protokół i żąda, aby sprawę odroczone. Prócz tego wymienia sam jeszcze trzech dalszych świadków odwodowych, mających wykazać, że nie powiedział wyzwick, jakie w skardze przytoczono.

Na korytarzu wyrzuca Słaboskrzypcowiczowi jego zastępcę:

— Dlaczego nie przyprowadziłeś pan głównego świadka, co? Mogło to być dziś skończone, teraz zaś przywiedzie oskarżony nowych świadków!

— Eh, panie doktor, dostałem rano jazdę do parku, tak tam posłałem Waniurę. Piątki tak wnet nie odrzuć, a sąd nie zając, to nam nie uciecz!

Mniej więcej po upływie tygodnia stawili się obaj przeciwnicy po drugi raz w sali sądowej. Ta razą jednakże poglądał Maciwoda weselej, gdy Sła- boskrzypcowicz garbił się niejako wstydliwie bliżej pieca.

Sędzia: No, to i co, panie Słaboskrzypcowicz, dziś mógłbyś się pan snadź zgodzić. Przybyła nam jedna skarga, pan Maciwoda pozywa pana, żeś go „pod gęsą“ wobec mnóstwa świadków lżył od działeś dalej, że należy do domu poprawy albo szubieniczników, bazgraczy malarskich, że powie- czubków i że jest przecież tylko portjerskie bydło. Cóż pan na to?

Słaboskrzypcowicz: Proszę uważać, prze- świetny sędzie, to ja piłem piwo, a tylko się tak mówiło!

Sędzia: Pięknie mówiło! Pan Maciwoda ma na to siedmiu świadków, że zacząłeś pan lżyć już przy drugiej szklanicy i jeszcze lżyłeś potem przez pół godziny. Bedziesz pan mniej więcej wiedział, co panu mogą świadkowie dowieść — to panu Maciwodzie reke, on panu to odpuści, pan cofniesz swoją skargę i basta.

Słaboskrzypcowicz (podchodzi powolnie ku swemu zastępcy i szepce z nim chwilę. Potem obraca się ku sąsiadnemu nieśmiało): Jabył się tedv zgodził, miłościwy panie!

Sędzia: No tak, panie Maciwodo, darujesz mu to?

Maciwoda: Gdy tu przvrzeknie, prześwietny sędzie, że nie będzie mi robił na przekór, to mu daruję.

Sędzia: Tak, panie Słaboskrzypcowicz, bądź rozsądnym i pan również, panie Maciwodo. Nie drażnij go pan „portjerem“, a pan mu nie maż doróžki farba...

Słaboskrzypcowicz (żywo): Fiakra, miłościwy panie fiakra.

Sędzia: Zatem fiakra! Podajcie sobie ręce. Tak. Koniec skargi upadły, idźcie do domu.

Dwaj przeciwnicy wychodzą ze sali, za nimi tłoczy się rzad świadków. Wyszli aż na ulicę nie mówiąc słowa. Lecz naraz obraca się Słabo- skrzypcowicz do Maciwody i rzecze:

— No widzisz, teraz to ci się udało, żem cię tak obmalował, chociaż nie malarz. Ale pomimo to ja jestem fiakrzysta Słaboskrzypcowicz, ty zaś jesteś u mnie „dozorca domu“, rozumiesz?

Po tych słowach przystępuje fiakrzysta do swego zastępcy, malarz zaś Maciwoda nagle zbła- dły potoczył się z wyrazem rozpacz, z zacietemi wargami przez rynek owocowy ku ulicy Tyń- skiej.

Jak Mosiek wyszedł na spółce z Walkiem

Humoreska.

(Dokończenie).

O dobre staje stał na pagórku okazały dwór, a na ganku przechodził się tam i nazad przed śnia- daniem jaśnie wielmożny pan kasztelan, pan już w podeszłym wieku, dobrej itusz, wspaniałej postawy, o twarzy łagodnej, wesołej i dobrodusz- nej.

Palił fajkę na długim cybuchu i może my- ślał nad czymś wesołym, bo uśmiechał się sam do siebie, i ani spostrzegł, kiedy żyd i Walek zbliżył się do ganku.

Mosiek Fsią czapkę wsadził pod pachę, a Wa- lek z uszanowaniem zdjął kapelusz z głowy, w milczeniu postępując ze swym ciężarem.

Wtem spostrzegł ich pan kasztelan i zawołał, uśmiechając się do Walka łaskawie.

— A co mi tam powiecie tak rano!

Żyd na palcach wysunął się naprzód, kłania- jąc się do nóg kasztelana, zaczął cmokać językiem i potrząsać pejsami.

— A grojse, grojse dziwo przynieśliśmy jaś- nie wielmożnemu panu — zaczął prawić zwinnym językiem, — nieśtychanego rarytnych bydlatków nałapiwaliśmy dla jaśnie wielmożnego pana; aj waj, takiego cud jeszcze nigdy nie biwała!

— A cóż to takiego? — zapytał kasztelan cie- kawie.

— Ny, ja nie bidzie powiedzieć jaśnie wiel- możnemu panu, ale jaśnie wielmożny pan bidzie oglindować i jaśnie wielmożny pan powie sam: Mośku ti wart czegoś! — A obróciwszy się do Walka, dodał: — Ni Walek, wsiępujcie z worka tego chudobie!

Walek otworzył worek i wytrzasnął na zie- mię szczupaka i lisa przed nogi kasztelana.

Dziedziec spojrział ciekawie na tę dziwną parę zwierząt, a Mosiek wyciągnął się jak długi na- przód a ciągle cmoka językiem, potrząsa pejsami i macha rekami.

— Aj waj, jaśnie wielmożny panie, a grojse, grojse cudo! takiego nie biwała jeszcze nigdy na świecie, a my tego umyślnie napwali dla jaśnie wielmożnego pana. Aj waj, gdybysmy tego bi- dlatów powieźli na targ do miasta, acher mir, jak na licvtacjiów zbiegliby się ludzie, a cobysmy u- targowali! bim, bim, bim! ale my wolimy przy- nieść to jaśnie wielmożnemu panu, jaśnie wielmo- żny pan nie bidzie chciał naszej krzywdy, a ta- kiego rarytnego chudoby to nie ma i nie bidzie u nikogo, tylko u jaśnie wielmożnego pana.

A ciagle podrgując, klepie patynkami, chli- pie śliną, a cmoka językiem.

Walek nie mówi, tylko się uśmiecha po swojemu, a to coś nie dobrze znaczy dla żydka.

Kasztelan nasyciwszy się dziwnym widokiem zwierząt, kazał je lokajowi zanieść i pokazać pani kasztelanowej, a obracając się do Walka i Moś- ka rzekł:

— Dżekuje wam moi ludzie, żeście się u- dali wprost do mnie, a nie gdzieindziej; ale po- wiedźcie mi, któż to ułapał właściwie?

Mosiek nie dając przysić do słowa Walkowi, znowu wysuwa się naprzód i kłaniając się do stóp jaśnie pana, zawołał przedko:

— Niby ja, niby on, ot tak umyślnie dla jaśnie wielmożnego pana!

— A to niby w spółce obydwa? — zapytał kasztelan.

— A tak w spółce, — potwierdza Walek.

— Hihhi, jaśnie wielmożny pan zgadł odrazów, potakuje żyd.

— No, i cóż chcecie za to? — pyta kasztelan.

Żyd śmieje się, łypie oczyma i cmoka językiem.

— Hihhi, już tam jaśnie wielmożny pan za takie rarvtne bidlata krziewy nam nie zrobił!

Ale Walek wystąpił teraz naprzód, a uściśnawszy dziedza za kolana, ozwał się pokornie:

— Toć ja miałbym tam o co prosić jaśnie wielmożnego pana, tylko bym chciał, aby jaśnie wielmożny pan przwrzekł mi naprzód na słowo, że wypełni moja prośbę.

Kasztelan zaśmiał się łaskawie.

— Ho, ho! może będziesz o jedną wieś prosił?

— O nie. — powiada Walek — ja będę o coś takiego prosił, co jaśnie wielmożnego pana nie będzie nic a nie kosztowało.

Mosiek niekontent, pociągnął go za sukmanę, ale Walek na to nie zważał wcale.

Tymczasem rzekł kasztelan:

— Mniejsza o to, masz moje słowo, proś czego chcesz.

Walek skłonił się do kolan jaśnie wielmożnego pana i rzekł pokornie:

— Proszę o pięćdziesiąt batów. — jaśnie pana

— Co? — zawołał kasztelan zdziwiony.

A żyd przestał podrygiwać i udając, że się śmieje zawołał predko:

— Ny, to on taki figlarz, on sobie tak żartuje.

Ale Walek na prawdę obstawał przy swoim.

Nadaremnie upominał i przedstawiał kasztelan, który nie lubił bić nikogo i z swymi poddanymi obchodził się jak z dziećmi rodzonemi. Walek uparł się przy swojej prośbie, a kasztelan związany danem słowem szlacheckiem, musiał chcąc nie chcąc zgodzić się na baty.

Przywołał swych kozaków i rozkazał przynieść ławkę.

Mosiek przestał już podrygiwać i cmokać językiem, a w duchu okrutnie kłał na głupiego Walka, co zamiast nagrody, domagał się kijów.

— No, kiedy chcesz, to się kładź, — rzekł nareszcie kasztelan, gdy stanęła ławka.

Walek dostał parę wołów za swój figiel, a wskazawszy na Mośka, rzekł:

— Ja, bo mam współnika — jaśnie wielmożny panie.

Mosiek słysząc to, zbladł jak ściana i zaczął krzyczeć z całego gardła:

— Co, herste, jak? jakiego spółnik, co za spółnik; bodajęś tak zdrów but!

Ale trudna rada. Walek obstawał przy swoim, a kasztelan nie mógł złamać danego słowa.

Kozacy porwali krzyczącego Mośka, a nim zmówił Zdrowaś, wlepili dwadzieścia pięć batów smolnych, że za każdym uderzeniem zdało się, iż się w ziemi przepadnie.

— A teraz na ciebie kolej, — zawołał kasztelan, kiedy miał się zaczynać drugie dwadzieścianiec batów.

Walek znowu się uklonił do kolan kasztelana i rzekł pokornie:

— O, ja tam nie taki chciwy, jaśnie wielmożny panie, ja jemu i moją połówkę odstepuję.

Kasztelan zanosił się od śmiechu, a chciwy Mosiek otrzymał i drugą połówkę oblewanych.

Dopiero potem wyjaśniło się wszystko kasztelanowi, który dowiedziawszy o chciwości Mośka, mało nie pękł ze śmiechu, mówiąc do żyda na pół zemdlącego z bólu i ze strachu:

— Dobrze ci to lotrze; masz za twoją chciwość, chciałbyś się niesłusznie wszystkim dobrem dzielić z biednym chłopem, bierz też teraz i co złe za karę.

Walek dostał parę wołów za swój figiel, a zyzowaty Mosiek cały tydzień przeleżał w łóżku, smarując się wódką, a do samej śmierci nie zapomniał nigdy, jak wyszedł na spółce z Walkiem Kuternogą.

O sołtysie, którego syn słałjował

Sołtys jeden nakładał na syna w Krakowie nie małym dostatkim, ale on nakład próżno wiódł, bo pan student więcej, gdzie szklankami dzwonił, przeleżał, aniżeli w kolegium. Gdy mu pieniędzy nie stało, powedrował do ojca, aby mu zaś dał pieniędzy. Nie bardzo się ojcu chciało, że już nań był niemonałozyciel. Wkrótce potem kładł ojciec gnój na wóz, a synaczek dziwował się we drzwiach stając. Zawołał go ojciec: synu, ba chodź jeno. Przyszedł, pyta go, jako po łacinie wódły; syn rzecze: widłatus, a gnój? gnojatus, a wóz? wozatus. Rozgniewał się ojciec, dał mu widłami po łbie, mówiąc: „Trafiać ja lotrze taką łaciną, znać, iżeś się za szkołą uczył. Nu lotrze weźmij widłatus w rekatus, nakładajże gnojatus na wozatus, niechajże już widłatus będzie twój piórkatus, a mego nakładu nie trać“.

Fortel gościnny

Do gościnnego domu przyszedł jeden zakonnik, pyta, jeśliby co miała gospodyni gotowego jeść. Powie, że jest pod polewką mięsa. Każe go sobie dać sztuke. Gospodyni tak mu koścista dała, że na niej mało mięsa było. Gość to widząc, jako nie dudek, w zanadrza rece włożył, gospodyni zawołał: prosi jej, by mu pokrajała, bo mu rece bardzo zmarzły. Gospodyni mniemając, że prawda, wziawszy nóż krajać chce, a no same kości, przeto po inna bieżała do kuchni. Gdy przyniosła, gość rzecze: „Już ja tę skraję, pani gospodyni, rozgrzały mi się już rece, bo ta sztuka mięsa miękniejsza jest na mój nóż“. Tak ci, zakonnik niemowny, kot niemowny, źle się miewają. Przeto jeden dobrze radać: Miej się na pieczy, mór o swej rzeczy.

Dobra matka

Na dworze deszcz i zawieja. Na ulicy pod ścianą stoi żebraczka i trzyma na ręku dziecko owinięte chustką. Jakaś litościwa osoba daje jej jałmużnę, przyczem odchyła jej chustkę, aby spojrzeć na dziecko. Okazuje się jednak, że zamiast dziecka jest tam lalka uwinięta ze szmat.

— Jak możecie tak oszukiwać ludzi — mówi oburzona pani.

— A cóżto Pani chciała? Żeby na taki pszczas wynosiła na ulicę prawdziwe dziecko?